Nr. 15. Sobota dnia 12-go kwietnia 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę trzecią po Wielkanocy.

LEKCYA
z listu pierwszego św. Piotra rozdział II, wiersz 11—19.

Najmilejsi! proszę was, jako przychodniów i gości, abyście się wstrzymywali od pożądliwości cielesnych, które walczą przeciwko duszy, mając obcowanie wasze dobre między pogany, aby w tem, w czem was pomawiają jako złoczyńców, z dobrych uczynków przypatrzywszy się wam, chwalili Boga w dzień nawiedzenia. Bądźcież tedy poddani wszelkiemu stworzeniu dla Boga: chociaż królowi, jako przewyższającemu, chociaż książętom, jako od niego posłanym ku pomście złoczyńców, a ku chwale dobrych. Bo taka jest wola Boża, abyście dobrze czyniąc, usta zatkali niemądrych ludzi głupstwu, jako wolni, ale nie jakoby mając wolność zasłoną złości, ale jako słudzy Boży. Wszystko czcijcie. Słudzy, bądźcie poddani panom we wszystkiej bojaźni, nie tylko dobrym i skromnym, ale też i przykrym. Bo to jest łaska w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

EWANGELIA
u św. Jana rozdział XVI, wiersz 16—22.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów: Maluczko, a już Mnie nie ujrzycie, i zasię maluczko, a ujrzycie Mnie, iż idę do Ojca. Mówili tedy z uczniów Jego jeden do drugiego: Co to jest, co nam mówi. Maluczko, a nie ujrzycie Mnie, i zasię maluczko, a ujrzycie Mnie, iż idę do Ojca? Mówili tedy: co to jest co mówi: Maluczko. Nie wiemy, co powiada. A poznał Jezus, że Go pytać chcieli i rzekł im: O tem się pytacie między sobą, iżem rzekł: maluczko, a nie ujrzycie Mię, i zasię maluczko, a ujrzycie Mię? Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż będziecie płakać i lamentować wy, a świat się będzie weselił; a wy się smęcić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci. Niewiasta, gdy rodzi, smutek ma, iż przyszła jej godzina, lecz gdy porodzi dzieciątko, już nie pamięta uciśnienia dla radości, iż się człowiek na świat narodził. I wy tedy teraz wprawdzie smutek macie; lecz zasię oglądam was, a będzie się radowało serce wasze, a radości waszej żaden od was nie odejmie.

NAUKA.

Na świecie wszystko maluczkie.

„Maluczko, a już mnie nie ujrzycie, a znowu maluczko, a ujrzycie mnie".

Jako przed swymi przyjaciółmi wynurza się Pan Jezus przed Apostołami przy ostatniej Wieczerzy otwiera całe serce swoje przed nimi. Powiada, że rychło się z nimi rozstanie, że wtedy smutek wielki ogarnie ich serca, że płakać będą i lamentować, a świat weselić się będzie. Potrwa to jednak nie długo, maluczko tylko, wnet bowiem znowu Go ujrzą i wielce z tego radować się będą. I stało się tak. Pan Jezus umarł na krzyżu i w grobie odpoczął, a wtedy Go nie oglądali apostołowie, dnia trzeciego zmartwychwstał wszelako i zaraz im się ukazał, przez drzwi zamknięte do nich przyszedłszy. „Maluczko, a już mnie nie ujrzycie, a znowu maluczko, a ujrzycie mnie".

O wszystkiem to trzeba powiedzieć, że maluczkie jest wszystko, co jest z tego świata. Co tylko posiadamy, za czem się serce nasze tak bardzo wyrywa, wszystko to maluczkie.

Samo życie nasze, jakież ono maluczkie, króciuchne. „Krótkie są dni człowieka" (14. 5), odzywa się Job patryarcha, a Psalmista Pański powiada, że jako pajuczyna lata nasze będą poczytane (89. 9). Zapytać zresztą tych, co lat 70, 80 już żyją, czy im się na świecie nie dłuży, a wnet odpowiedzą: wszystkie lata nasze jako dzień wczorajszy, co szybko uleciał. Wieleż to razy my sami ze zdziwieniem mówiliśmy sobie: gdzie się właściwie podziały me lata, jak błyskawica tak szybko minęły.

Więc życie nasze, choćby i najdłuższe, maluczkie jest, króciuchne, a jednak za tych krótkich dni naszych mamy sobie na życie wiecznie szczęśliwe zarobić. Z każdej przeto godziny pilnie korzystajmy, z każdego nawet kwadransa, a czasu życia naszego używajmy na dobre uczynki, abyśmy mogli sobie przy śmierci powiedzieć: na pijaństwie życia mojego nie zmarnowałem, ani na rozpuście, ani na procesach, ale Panu i Bogu mojemu wiernie służyłem.

Za życiem jak najdłuższem tęsknią ludzie tak bardzo zazwyczaj, choć ono maluczkie, tęsknią jeszcze i za bogactwami. Niejeden życie swoje na to jedynie obraca, aby sobie bogactw jak najwięcej przysporzyć. Ma ich dosyć już, bo ma i roli dostatek i obejście ładne i grosza sporo w kieszeni, a jeszcze mu tego wszystkiego za mało. Nie doje on, nie dośpi, nawet się uczciwie nie przyodzieje, a grosz składa do grosza, aby się tylko jak najbardziej zbogacić. A nieraz to i sierotę taki człowiek ukrzywdzi i zapłatę zatrzyma robotnikowi.

Cóż potem? Przychodzi śmierć i wszystko mu z rąk wydziera. Po dobrach swoich rozglądając się wtedy, powiada do siebie: marność nad marnościami. I to bydełko ładne i ta chata obszerna i te dziesiątki morgów mej roli, wszystko to marności; marność i ten grosz, com tak łakomie gromadził. Koszula śmiertelna, cztery deski i grób, oto moja przyszła posiadłość. I jeszcze sobie powiada: a dusza moja z czemże stanie przed Bogiem, kiedym i kawałka chleba ubogiemu żałował? Jakże mu ciężko teraz umierać!

Pamiętajże o tem, że wszystko złoto i srebro, że dostatki choćby i największe maluczkie są, bo

nie nasycają serca naszego, a przy śmierci niemiłosiernie od nas uciekają.

Wiedział o tem św. Aleksy. Był on synem bogatych i dostojnych rodziców. Po ojcu spadał nań cały majątek, on jednak obawiając się, aby do mamony nie przylgnął, opuścił dom rodzicielski, a dobrowolne obrał ubóstwo. Potem żył z jałmużny, umarł jak żebrak nieznany w domu swego ojca, do którego później powrócił. Widać, jak maluczkie były w oczach jego dostatki doczesne.

To samo i o godnościach wszelakich trzeba powiedzieć. Honory, dostojeństwa, godności, jakież i one maluczkie są i marne. Gdyby przed Bogiem przynajmniej coś one ważyły. Ale Bóg nie ogląda się na osoby ludzkie, nie patrzy, kto koronę królewską nosi na głowie, kto zaś z torbą dziadowską od domu chodzi do domu, o jałmużnę prosząc. Cała nasza godność przed Bogiem, to życie cnotliwe.

A tu pnie się i pnie niejeden do góry, aby tylko zakasować wszystkich, a samemu się w godnościach wywyższyć. I dopiął swego, ale legł w grobie i on obok nędznego zaraz pastuszka. A dziś echo nawet zaginęło o nim, imię jego nawet w ludzkiej pamięci na zawsze przepadło. Cóż więc warte są godności wszelakie? Tyle, co ta chmurka, co wczoraj nam przeleciała nad głową.

Ojciec św. Hermenegilda, król Wizygotów, heretyk, Aryanin, chciał w tej wierze i syna utrzymać. Ale św. Hermenegild twardo stał przy św. katolickiej wierze, za co go też do więzienia wtrącono. Kiedy prośby i namowy wszelakie nic nie skutkowały, aby go od św. wiary oderwać, został na rozkaz ojca zamordowany. I królewskiej korony, którą miał nosić po ojcu, zrzekł się ten święty męczennik dla korony niebieskiej, bo jako czcze, — marne i maluczkie uważał on godności doczesne.

Za jednem jeszcze łakną ludzie bez miary — za rozkoszami świata. Myślą oni sobie: z wesela na wesele chodzić, z karczmy do karczmy, z jednego jarmarku na drugi, to życie dopiero. Jakoż nad tem oni najczęściej łamią sobie głowę, jakby to jak najwięcej zażywać rozkoszy. Niczego sobie też nie żałują. Jak mucha do miodu tak ciągną i oni na każdą ucztę, na każde wesele, wtedy nawet, kiedy ich tam wcale nie proszą. Jeszcze i w rozpuście cielesnej dogadzają sobie dowoli.

Na końcu powiadają jednak, że marnością to wszystko, że rozkoszy światowe tak są maluczkie, iż nie mogą nasycić, zaspokoić człowieka. I nie nasycają go, choćby się cały na wszelakie wydał uciechy. Marne więc i maluczkie są rozkosze ciała, świat jednak łowi na nie ludzi, jak rybak ryby na wędkę.

Św. Bernard z Syeny od samej młodości okazywał wielkie zamiłowanie skromności i czystości duszy. Jedno słówko nieskromne, które ktoś przy nim wymówił, rumieńcem wstydu oblewało twarz jego. Pewnemu panu znakomitemu, który w jego obecności powiedział żart nieskromny, dał naganę tak dotkliwą, że jegomość ów wstydem zapłonął i poprawił się. Dla wszystkich nieoględnych i rozpustnych w mowie skromność Bernarda była silnym zawsze hamulcem. Gawędy mało poważne ustawały w tej chwili, kiedy Bernard się zbliżał. Milczcie — mawiano — Bernardyn idzie. Takim szacunkiem przejmowała wszystkich skromność i czystość jego. Św. Bernard gardził rozkoszami świata, bo wiedział, jak one puste są, maluczkie i marne, bo sercu człowieka jedynie utrapienie przynoszą.

Na tym świecie wszystko maluczkie: bogactwa, godności, rozkosze wszelakie. Niechże więc serce twe za niemi nie łaknie, a dusza twoja trzyma się od nich z daleka. Inaczej w godzinę śmierci pożałujesz tego i powiesz: sterałem w marnościach żywot mój, a na grobie moim sama hańba odpocznie.

Jeszcze i za grób, do wieczności wejrzyjmy. Wstąpmy w otchłań piekielną na chwilę. Tam płacz i zgrzytanie zębów. Cóż to z oczu potępieńców łzy te wyciska, co ich do zgrzytania zębami przymusza? Nic innego, tylko te piekielne katusze, jakie tam ponoszą. Za cóż to przecie spotkała ich kara piekielna? że się za życia całem sercem przywiązali do bogactw, a ubogich nie znali; że się wynosili w godnościach swoich, a pogardzali innymi; że w rozkoszach światowych sobie dogadzali. Jak dzień wczorajszy, tak minęły szybko rozkosze ich, godności, bogactwa, a pozostał im za nie ogień piekielny. Na długoż to? — na zawsze. W tych podziemiach piekielnych rozlegać się będzie płacz i zgrzytanie zębów na zawsze. W otchłani tej ogień piekielny ich towarzyszem na zawsze. Za chwilę rozkoszy będą im szatani urągać na zawsze.

Przebij, Panie, bojaźnią Twoją ciało moje, bym się bał sądów Twoich. Oświeć rozum mój, abym raz poznał, że na świecie wszystko jest maluczkie, oprócz miłowania Ciebie, Boże, największe dobro moje. Amen

OSTATNIA.

OBRAZEK Z CHORWACYI.

Nad Dobrowacem gasło wrześniowe słońce. Płowe zmierzchy pełzły z poza załomów wyrudziałych pagórków, zalewały szare smugi w przestrzeni, dopadały i odpadały od rozmokłej ziemi, pochłaniając resztki blasków, rozprószonych z posępnego nieba. Wiatr, pełen dżdżu i świstu, dął od Sunii, uderzał o fale rozgliniowej Łopoty i, nasiąknąwszy wilgocią strumienia, pędził suchemi polami, zawadzając po drodze o wyboje rozrzedzonych lasów i chróstowe lub gontowe dachy kroackich przysiołków. Pustka i zamyślenie wisiały w przestworzu, na drzewach. Tylko w chacie Mary Malinczicowej migotało światełko, znikało i znów lśniło, jak błędny ognik na mroku trzęsawiska. Staruszka ujmowała chwilami w garście łopatkę i lampę i ostrożnie stąpała ku zakamarkowi, obrzuconemu różnobarwnym nieużytkiem. Odgarnęła wióry, szmaty, z powierzchni dużej paki i nastawiła płomyk do wnętrza. Z pod pergaminowych brózd jej twarzy wykradło się zadowolenie, rozjaśniające przymgloną wiekiem źrenicę. Pomrukiwała, zapuszczała ramię głęboko, przezornie macała spód skrzyni, poczem przyklękała, ginęła połową ciała pod kopcem łachmanów, a kiedy się już dosyć nacieszyła, układała śmiecie dopóty, póki paczka nie zginęła pod pstrokatą powłoką. Że się to mimo spóźnionej pory i niezdrowego powietrza kilkakroć powtarzało, — staruszka kaszlała i ledwie się wlokła do skromniutkiej izdebki. Miała wejść właśnie do łóżka, gdy kiść jarzębin zadzwoniła o szyby, a ona, zlękniona, w zgrzebnej koszulinie, poomacku biegła do zakamarka, rękę wpuściła w gęstwię i szeptała:

— Śpi, nie odnajdą jej, pókim żywa, nie odnajdą „koszutki"! Matka Boża z Czaglic nie dopuści...

Drżąc z chłodu i strachu, wtuliła się w fałdy odzieży, ale sen nie kleił jej powiek. Zamęczała się troską o Sawę, jedyną towarzyszkę pustkowia. Jak to? Miałaby się z nią rozstać, oddać drogie stworzenie pod nóż oprawców? Przynieśli wprawdzie z „poglavarstva" pisanie, cóż ją to jednak obchodzi? Prawda, straszna zaraza dziesiątkowała owce od tygodnia, wciskała się do każdej obórki, tak, że zaledwie ciepłą zakopano padlinę, już bieluchnego biedactwa sterty czekały na pogrzebanie, a pomór szedł i szedł bez litości i zatrzymania, zostawiając za sobą zubożenie i łzy chłopskie.

Przed oczyma Mary zabierano do ubicia stadka Markowićom, Kisićom, Luce Wukowićowi, Dragustinowi Staji, aby zapobiedz szerzeniu się moru, ona wszakże nie odda jedynaczki, chyba krew jej splami równocześnie wymuskaną wełnę Sawy. Nigdy, przenigdy! Czego ci zbóje chcą od nędznej, steranej kobiety? Powie, czem Sawa jest dla niej, obejmie nogi pana naczelnika i opisze swoje sieroctwo. Przecież Sawę jak dziecię chowała, karmiła z dłoni, kładła jej pościółkę obok siebie i przepasywała czerwoną wstążką. Gdy się wlokła o kijku, miała Sawę u boku, a gdy wędrowny kobzarz zawodził pieśń o Marku Królewiczu, spieszyła z Sawą do „gostiony", wspierała się o ścianę i chwytała przytępionym słuchem tony, rozbrzmiewające chwałę narodowego bohatera.

„Oj, Marku, Marku, my wszyscy Marka potomkowie!" — wołano zewsząd, a Sawa lizała zwiędłe ręce Mary, jakby w podzięce za przygrywkę. Ho! ho! jakże ma się wyrzec Sawy! Jej staremu na wojence pod grafem Jelaczićem ucięli nogi, on zaś męczył się i męczył z dziesięcinę lat, potem zwlókł się z miasta na chorwacki ugór, aby położyć głowę nad Łopotą, aby mu świstał wiatr z nad Drawy i po cząbrach grobowych szum przechodził dobrowackich lasów. Ona z Sawą odprowadziła nieboszczyka hen, na piaski, spadające z górzystej roztoczy, i tam odwiedzała go często, póki nogi nie zaczęły się ciężko wlec po ziemi. Jakże ma dać Sawę?... Chodzi z nią wspólnie, w wolnej od paszy chwili, po piędzi ogródka, otrząsnąć gąsiennice z liści wiśni, gruszy i wygrzewać się pod żarem letnim. Potem razem patrzą, jak niebo, oblane blaskiem purpury, śle w powietrze ogniste oddechy i spycha słonko rozszerzone, ogromne, na sine krańce chorwackiej krainy, Bóg wie gdzie... Tam może drogi Karlo wojował, tam może został kaleką, dolę swą zmarnował, w ubożuchnem opuszczając ją wdowieństwie... Juźci, to słonko nie dalej zapada, niż w chorwackim kresie... Albo to są jakie inne jeszcze?... Gdzie się do wsi ruszyła, czy do Milowaca, czy Darowaru, czy Rokity, wszędzie i wszędzie rozmówiła się po chorwacku, toż widocznie niema nad chorwacką ziemię, a słońce ją wyłącznie kąpie w blaskach, dalej wdowę po Karlu, i Sawę, i przytulisko cmentarne, i Łopotę mruczącą, i wiśnie, grusze, i te sadyby z domkami garbatymi, niby białe plamy, rzucone na zielone smugi, opasujące rozczochrane dobrowackie podnóża. Precz od niej, od Sawy! Za pasem zima mroźna, gorsza stokroć od wrześniowej szarugi. Niech tylko zawieja spadnie od mogił i czarnych jarów bośniackich, to brodzić tylko w śniegach i gubić oczy na szronach. Wówczas inni cieszą się dziećmi, kumami, gwarzą przy kominku, przędą kądziny na wzorzyste, sztywne spódnice i rańtuchy, a ona głaszcze kędziory Sawy, — Sawa zaś mruczy i wznosi w górę piwne źrenice jakby z zapytaniem: „Matko Maro, matko Maro, nie tęskno wam za gruszami, wiśnią i Łopotą?" — Ano tęskno po nich, ale teraz na nich białe śniegi leżą. Ty jedna, jasna Sawo, i Karla dusza mi towarzyszycie, i Jezusek, co chodzi od progu do progu ze zmiłowaniem. Hej! hej! Sawo! luba Sawo!... Toż w latko za to idziesz ze stadkiem na błonia, markotną zostawiając staruszkę, czekającą, aż zabeczysz pod wejściem: „Matko Maro, puść, to ja, Sawa!..." Sawy chcecie pod nóż?... Niedoczekanie!

Zgrzytnąwszy słowami groźby przez domknięte usta, zasnęła wprawdzie, ale miała sen ciężki, urywany, przepełniony widmami. Rankiem zajrzała do zakamarka, uspokoiła się nieco i krzątała po izdebce. Wtem stopniowo zbliżały się głosy piosenki i miarowe stąpanie:

Na vojsku, na vojsku, vitezi valjani!
Koga god majka hrvatska odhrani...

Mara z lęku zsuwała się ku podłodze. Lekkie pukanie do drzwi wyprostowało jej nogi.

— Hej, matko Maro! otwórzcie...

— A kto tam?

— To my, z poglavarstva, Antun i Stanko, puśćcie, Maro...

Dwóch pandurów (słudzy gminni) weszło do środka.

— Pochwalony Jezus Chrystus, matko Maro. Dzień dobry!

— Na wieki! Dzień dobry, Antun i Stanko. A co wy do mnie?...

— Oddajcie owcę, według przykazu...

— Dobre junaki, Antun i Stanko, taż moja Sawa poszła i gdzieś zdechła, temu tydzień. Oj, biadaż mnie, biadaż... A była taka hoża i lekka, jak ptak, co się na gałęzi kołysze...

— Matko Maro, nie żartujcie.

— Gdzieżbym, synaczki, nieszczęsna żartowała. Gwiazdka ma obok siebie gwiazdkę, kamień drugi kamień, wy, Antun i Stanko, żony, dzieci, a ja te palce u ręki. Nawet Sawa mię opuściła...

— Ej, matko Maro, nie szanujecie przykazu p. glavarstva — odparł Antun. — Ja i Stanko zwyczajne pandury i myśmy nijakich praw nie wymyślili. Dawajcie owcę...

— Bierzcie, szukajcie, miłe junaki, ale niema Sawy u matki Mary, niema...

— A przecież jej święty Jerzy nie uniósł...

— Nie uniósł ci święty, nie, ale złe zabrało.

— Nie opierajcie się władzy, matko Maro, bo ona nami rządzi. Tak nademną i Stankiem jest pan pisarz, nad nim rajca, nad panem rajcą naczelnik, nad nim żupan, nad panem żupanem ktoś jeszcze i jeszcze, potem Pan Bóg. A kiedy nie słuchacie Antuna i Stanki, nie słuchacie pana pisarza, ni pana rajcy, ni naczelnika, ni żupana, ni tamtych innych, a przez to Boga... Skoro nie dacie dobrocią, poszukamy złością.

— Szukajcie, synaczki, chrobre junaki, Antun i Stanko, ale u mnie niema Sawy...

Pandury przetrząsnęli izbę, obejrzeli zakamarek, pogardą minęli kopiec szmat i, spluwając, wyszli, odgrażając się niechętnie:

— Poczekajcie, zadarliście z gminą, w ciemnicy wyśpiewacie...

Kobieta zasunęła rygiel, wbiegła do zakamarka, rozrzuciła kopiec i za nogi wyciągnęła Sawę. Ona się strzepotała, nastroszyła uszy i długo lizała dłonie staruszki. Mara zaś, prawie w kabłąk zgięta, przesuwała policzki po wełnie owcy, nastawiała usta do jej nozdrzy i gawędziła:

— A ty jedna!... A ty mileńka!... Chcieli cię zatznąć i cisnąć do dołu... Twoja wełna czysta, jak puszek, twoje oczęta, jak woda Łopoty w słońcu, twoje uszka, jak gałeczki mlecza, ległyby w grudzie dobrowackiej. A ktoby szedł ze mną na grusze, wisienki, kto marzył o Karlu przy kominku, kto słuchał dumy o Królewiczu Marku, Sawo, moja Sawo? Tybyś siała zarazę? W tobie, moja pieszczocho, życie, zdrowie, schludność, nie mór! Chucham na ciebie, jak słonko na chorwackie góry, a oni się boją, szaleni... Pan Jezusek nad nami czuwa i krzywdy uczynić nie pozwoli. Zabeczże ty psotnico, zabecz mamie Marze, meee...e, meee...e, to jakby najpiękniejszy skowronek lub słowik ćwirkał w haszczy. Nie powiesz meee..e, niewdzięcznico?...

Bawiła się z Sawą, a Sawa z nią długo, potem dla przezorności ułożyła owcę w skrytce, przyniosła trochę pokarmu i łupę mleka. Nad wieczorem zjawił się Antun.

— Rozkaz zamknąć was do klatki, póki nie wskażecie owcy.

— Wola Pana Jezuska, ale nie mam Sawy, nie mam...

Umieścili ją w ciemnej celce pod ziemią, której okienko, pokryte drucianą siatką i drążkami na krzyż złożonymi, wprowadzało słabe odbłyski dnia, ginące w mrokach kazamaty. Ze ścian lała się wilgoć obfitymi wybojami, zalewała mokrą ziemię, nasycając powietrze stęchlizną i trującym odorem. Mara zawiesiła oczy na okratowaniu i rozpościerającej się za niem szosie wiejskiej, wijącej się i pod jej chatą, pod zakamarkiem Sawy...

Czyż ją tu żywcem zamierzają pochować? Może oddać Sawę za wolność? Nie, raczej jej, Marze, spleśniałej i niedołężnej, śmierć, niż Sawie...

Staruszka się zatrapiała, zagryzała i nie wiedziała, co z sobą począć. W nocy zrobiło jej się bardzo dokuczliwie, cierpko i strasznie nieswojo. Zdawało jej się, że na drodze widzi potworne, różnokształtne kłęby, zbiegające się i rozchwiejające nad górską roztoczą, trzepoczące kruczemi skrzydłami, następnie falujące w strasznie prędkim wirze i zrywające do szalonego tańca dobrowacką kotlinkę. Dwadzieścia lat temu ludzie we wsi, jak muchy, padali i także wiedźmę widzieli... To niezawodnie pomór nieubłagany... Jezu, Jezu, on wielki, on straszny bez końca, taki, jak wieża kościelna... nie, dwa razy tyle, sześć razy... nie, dziesięć razy, i idzie, idzie trapić, dusić...

Starowina zwlokła się na tapczan.

Pandur Stanko zastał ją rano chorą; nie mogła się ruszać, miała lewą rękę i lewą nogę dotkniętą paraliżem.

— Rany Boskie! matko Maro, próbujcie trochę — zachęcał pandur. — Napytaliście sobie biedy na stare lata przez takie bydlę...

Przywołał pisarza, naczelnika, a ci, zatykając usta chustami i kiwając obojętnie głową, kazali przenieść chorą do chałupy.

— Zawsze z tą hołotą kłopot i kłopot!...

Przez trzy miesiące obłożnej niemocy zmieniali się przy łóżku staruszki Milinczicowej sąsiedzi i złorzeczyli zawzięcie:

— Oni w tej dziurze niejednego zabili, szczeniaki! Gdy Marze lepiej było, spytała o Sawę.

— A jest, jest zdrowiuteńka, jak źdźbełko żytka. Ta cholera zgasła i ocalała. Cud szczery...

— A szczery, bo szczery — powtarzano chórem.

— Pan Jezusek ma was w szczególnej opiece...

Sawa markotna, nieruchoma, leżała przy łóżku, z pyszczkiem wsuniętym między łapy. Mara rzucała na nią spojrzenie pełne tryumfu.

— Sawo mileńka, ty jedna...

Potem słabym zagadnęła głosem:

— Jakżeście ją przyhołubili?

— Ano tam, pod kupą, aż już nie trza było. Na przekór tym ścierwom pandurom...

Władzy już nie odzyskała. To też latem, siedząc na zydelku, przez okienko patrzała na wiśnie, grusze i cmentarne piachy, kryjące prochy Karla. Obsługiwała ją Agnes, mała przybłęda i własność wsi całej, a Sawa do wiosny grzała jej stopy. Z majem miała Sawa wyjść na paszę. Wszystkie jednak owce skosiła zaraza, i ona ze wsi została ze swego rodu jedyna, ostatnia... Całe wesołe stadko, z którem pląsała po nadpołockiej runi, było zadżumione, z kimże się bawić zatem będzie? Popędzili ją na paszę w trzodzie dużych, raźnych kóz. W stadku były poważne capy brodacze, z zasępionem spojrzeniem i butnem wzniesieniem łbów. Gdy zorze gasły, posuwała się trzódka wolno gościńcem, pobrzękując dzwonkami, przed nią zaś kroczył duży kundys z drążkiem u obroży, za nią trzech pastuszków w guniach i odsłonionych, na wylotach koronką obszytych, pantalonach chorwackich. Za nimi wiał wietrzyk nadpołocki i pachniała koniczyna dobrowacka, a pozdrawiało ich po drodze ujadanie psów i słowa powitania: „Pochwalony! dobry wieczór!” Sawa szła z boku, na kraju, odosobniona, zamyślona, nie zbliżając się do swych towarzyszów.

Była ogromnie smutną, przygnębioną — ta ostatnia...

Minęli już kapliczkę, pod którą dziewki, ująwszy się za ręce z parobkami, tańczyli „koło” niedzielne, pląsając do taktu tamburyny, minęli rząd powózek, wiozących wesele, gdy Sawa zaczęła się zataczać niedaleko chatki. Pastuch zawołał pod okienkiem:

— Matko Maro, wasza kiepska...

Sawa dowlokła się do izby i padła u nóg staruszki. Odtąd nasłuchiwała codzień Mara głosu dzwonków i ze łzą w oku powtarzała:

— Ta moja mileńka, ostatnia...

Łamigłówka sylabowa

(Ułożył Leopold Łoska z Glinki pod Tychami.)

Is, nia, gut, to, lu, e, kar, le, lef, czer, ga, o, ma, ser, ze, a, dy, wik, ko, lon, no, e, ni, is, niec, nu, an, ta, lan, wiec, bicz, bu, rek, mi, gas, mi, po, lo, da, po, ce.

Z powyższych sylab utworzyć 16 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko autora poematu „Marya“, końcowe zaś litery czytane z dołu do góry imię i nazwisko sławnego hetmana polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Człowiek wydobywający skarby z morza. 3. Coś wesołego dla młodych ludzi. 4. Miasto na Śląsku. 5. Imię biblijne. 6. Miasto w Turcyi europejskiej. 7. Wyspa na Oceanie indyjskim. 8. Imię żeńskie. 9. Miasto na Biało-Rusi. 10. Miesiąc. 11. Imię biblijne. 12. Chan tatarski z XVI wieku. 13. Heretyk angielski. 14. Narząd organizmu. 15. Ptak domowy. 16. Nazwa nuty odwrotnie.